Między nauką a literaturą

Rozmowa z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją

Prof. Stanisław Nicieja w słynnym przedwojennym uzdrowisku

Truskawiec podczas kręcenia filmu o tym mieście

Aleksandra Ziółkowska-Boehm *(Wilmington, Delaware)*:

Jest Pan postacią – nie waham się nazwać – niezwykłą. Kustosz pamięci, historyk, badacz, biografista, publicysta, wizjoner, autor filmów dokumentalnych, działacz społeczny. Ma Pan okazały dorobek naukowy, kulturalny, publicystyczny. Jest Pan autorem wielu znanych prac naukowych a także reportaży historycznych. Otrzymał Pan liczne nagrody, odznaczenia i medale.

Stanisław Nicieja *(Opole)*:

Jest mi bardzo miło wysłuchać tak wysokiej oceny moich działań zarówno organizacyjnych, jak i naukowych. Naturalnym oczekiwaniem człowieka jest, aby jego praca i działanie społeczne było zauważalne. Jednak pech czasem sprawia, że wiele osób mogących szczycić się swymi ważnymi, a nierzadko wybitnymi osiągnięciami, pozostaje w cieniu, a ich osiągnięcia anonimowe bywają przypisywane innym. Myślę, że jestem dzieckiem szczęścia, ponieważ moje działania i funkcjonowanie społeczne w różnych środowiskach było i jest zauważane i wyróżniane. I to jest doping do pracy i działalności społecznej, gdyż bez uznania środowiska nie ma satysfakcji. Brak akceptacji paraliżuje wszelką inicjatywę. Uważam, że los mi wyjątkowo sprzyja. Akceptowanie tego, co czynię, wpływa na stymulację

mych działań.

Opole jest Panu bliskie od lat studenckich, skończył Pan tu studia historyczne, uzyskał doktorat, habilitację, profesurę.

Urodziłem się na Dolnym Śląsku i bliżej było mi pójść na studia do Wrocławia – dużej aglomeracji miejskiej i wielkiego centrum naukowego, z bardzo prestiżowym uniwersytetem, na którym po wojnie wykładała kadra przedwojennego Uniwersytetu Lwowskiego, i to o tak dużych nazwiskach, jak choćby Hugo Steinhaus, Ludwik Hirschfeld, polonista Mieczysław Klimowicz czy historycy, Ewa i Karol Maleczyńscy. Ja wybrałem mniejszy ośrodek, Opole, głównie z tego względu, że tam odbywał się Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. A był to czas wielkiej eksplozji polskiego *rock end rolla*, kolorowych hipisowskich zespołów, które grały w stylu bitlesowskim. Było ich wiele. Bliska mi była wówczas filozofia hipisów. Nosiłem długie włosy, buty bitlesówki i koszulę w kwiaty. Opole miało swoisty klimat. Wybrałem je, aby na co dzień być w pobliżu słynnego amfiteatru, wypełnionego w letnie dni artystami.

Na Uniwersytecie Opolskim przez cztery kadencje pełnił Pan funkcję rektora. Był Pan także dyrektorem Instytutu Historii, był Pan też senatorem Rzeczypospolitej V kadencji. W Opolu nowa siedziba Uniwersytetu w dużej

mierze jest Pana zasługą, przyczynił się Pan także do przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Uniwersytet.

Opole jest miłym miastem, takim polskim Heidelbergiem – nie za dużym, nie za małym. Leży na dobrym szlaku. Blisko stąd do dużych aglomeracji – Wrocławia czy Katowic: godzina drogi samochodem. Miasto jest kameralne, ma wdzięk. Ładną architekturę, piękny Rynek z kamieniczkami i ratuszem w stylu florenckim. Uczelnia, którą wybrałem, od początku miała klimat serdeczności i przyjaźni. Były na niej partnerskie relacje między kadrą profesorską a studentami. Kampus uniwersytecki zamknięty w trójkącie trzech ulic ciągle się rozbudowywał. I po studiach włączyłem się w ten proces. A mając szczęście do ludzi i ważnych przyjaźni stałem się z czasem jednym z liderów tego środowiska, więc powierzano mi funkcje kierownicze – w Instytucie Historii, a później całej Uczelni. Żeby rozbudować mój uniwersytet musiałem wchodzić w relacje polityczne, czasem ryzykowne, ale dające możliwości skutecznego zdobywania finansów na rozbudowę kampusu uniwersyteckiego: na wielomilionowe inwestycje oraz ściąganie wartościowej kadry naukowej. Obiekty, które powstały w czasie moich czterech kadencji rektorskich, kosztowały około 190 milionów złotych. Były to m.in.: Collegium Maius, Collegium Minus, Collegium Civitas i inne.

Prof. Stanisław Nicieja w gronostajach rektorskich. Funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego pełnił przez cztery kadencje w latach 1996-2016. Jest uważany za jednego z głównych twórców opolskiej Alma Mater.

Przyjemnie jest być od lat związanym z jedną uczelnią?

Uważam, że tak. Chociaż w Ameryce może to brzmi dziwnie, że nie zmienia się co pewien czas uczelni. Jestem monogamistą. Od pół wieku związany jestem z jedną kobietą i z jednym miejscem pracy, z mocno rozgałęzionymi przyjaźniami w tym miejscu. Co

nie znaczy, że z tego kokonu uniwersyteckiego nie wyrywam się co pewien czas w świat. Mogę nawet powiedzieć, że jestem globtroterem, bo przejechałem całą Europę wzdłuż i wszerz – od Lizbony po Sankt Petersburg, od Belgradu po Sztokholm. Byłem na wielu uniwersytetach w Europie, Azji i Australii, m.in. w Berlinie, Hanowerze, Singapurze, Tajpej i Perth. No i wielokrotnie przemierzyłem całe Kresy – od Kiejdan i Wilna po Stanisławów i Kołomyję. Miałem dotychczas przynajmniej 1000 spotkań autorskich, głównie w Polsce, ale i w Europie, w tym w lwowskim Ossolineum, londyńskim POSK-u czy Bibliotece Polskiej w Paryżu.

Opole – dzięki Pana staraniom – zostało wzbogacone niezwykłymi rzeźbami. Wzgórze Uniwersteckie w Opolu ozdobiły rzeźby Henryka Hartmanna „Cztery pory roku". Ustawiono tam m.in. kolumnę Maryjną, figurę św. Krzysztofa z Dzieciątkiem, Chrystusa, św. Wojciecha. Także wmurowano tablicę poświęconą Janowi Pawłowi II.

Każde miasto uniwersyteckie powinno mieć jakąś specyfikę, jakiś wyróżnik, coś, co jest swoistym emblematem kojarzącym się z tym miastem. I kiedy w 1994 roku tworzyliśmy w Opolu Uniwersytet, i kiedy zostałem liderem tego środowiska zdecydowałem jako rektor, że główny budynek uniwersytecki, Collegium Maius (który wówczas był opuszczoną ruiną po dawnym klasztorze dominikańskim), powinien wrócić do dawnej

świetności. Uważałem, że nie tylko jego wnętrza: sale z pięknymi plafonami, refektarz, gabinety dziekańskie i korytarze mają odzyskać duch baroku oraz klasycyzmu, ale też jego otoczenie – wzgórze, na którym ten dawny klasztor został wzniesiony powinno wyróżniać się piękną rzeźbą barokową, neogotycką i współczesną. Ponieważ w podopolskich wsiach, gdzie były poniemieckie pałace i parki krajobrazowe znajdowało się wiele poniszczonych rzeźb, udało mi się za zgodą konserwatorów zabytków przewieźć je do Opola, odrestaurować i umieścić przy ścieżkach na Wzgórzu Uniwersyteckim, co spowodowało, że miejsce to stało się niezwykle atrakcyjne. Stało się swoistym muzeum rzeźby na wolnym powietrzu.

Rektor prof. Stanisław Nicieja wręcza Danielowi Olbrychskiemu – wybitnemu polskiemu aktorowi, dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Opolskiego

Opole znane jest z corocznego (od 1963 roku) Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. Dzięki Panu – na Wzgórzu Uniwersteckim powstały pomniki – Agnieszki Osieckiej, Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jerzego Grotowskiego, Jeremiego Przybory, Jerzego Wasowskiego, Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego.

Dotyka tu Pani fenomenu polskiej kultury lat 60. i 70. XX wieku. Wtedy to stworzono Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej (takie polskie San Remo czy Woodstock), który był dla mnie – jak już wspomniałem wyżej – magnesem do podjęcia studiów humanistycznych właśnie w Opolu. Był to czas, kiedy w opinii poety Jeremiego Przybory: „Polska stała się europejskim imperium piosenki artystycznej na najwyższym poziomie". Tworzyli wtedy i przyjaźnili się ze sobą Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski i Jonasz Kofta, a rywalizowali z nimi o palmę pierwszeństwa nie mniej znakomici poeci, by wspomnieć tylko Leszka Aleksandra Moczulskiego, Janusza Kondratowicza, Jacka Cygana czy Magdę Czapińską. Muzykę do wierszy tej plejady poetów tworzyli m.in. Seweryn Krajewski, Andrzej Korzyński, Włodzimierz Nahorny i Włodzimierz Korcz. Ich utwory wykonywali tacy mistrzowie estrady i wokalistyki, jak choćby Czesław Niemen, Maryla Rodowicz, Ewa Demarczyk, Stan Borys,

Michał Bajor, a także Łucja Prus.

Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, na którym triumfy odnosili wyżej wymienieni artyści, był jednym z centralnych wydarzeń w polskiej tzw. kulturze wysokiej. Na każdym festiwalu w latach 60. i 70. wyróżniano kilka piosenek, które natychmiast stawały się przebojami i do dziś są powszechnie znane. Ponadto polscy artyści i piosenkarze zaczęli pisać muzykę do wierszy najwybitniejszych polskich poetów: Niemen do poezji Norwida i Iwaszkiewicza, Grechuta do poezji Mickiewicza i Wyspiańskiego, Ewa Demarczyk śpiewała wiersze Tuwima, Baczyńskiego i Białoszewskiego. To była rzecz niebywała. Nakłady płyt były milionowe. Zostawiło to wielki ślad w polskiej kulturze. Na tej twórczości wychowały się całe pokolenia młodych Polaków. W latach 90. XX wieku poziom festiwalu opolskiego obniżył loty, skomercjalizował się i dziś nie odgrywa już istotnej roli w polskiej kulturze. Chcąc dać wyraz artystyczny i podkreślić znaczenie ludzi i tamtych wydarzeń postanowiłem na Wzgórzu Uniwersyteckim, w okalającym go parku, wśród zieleni, przy alejkach wznieść pomniki portretowe artystów, których Pani wymieniła, bo byli najwięksi z twórców tej złotej epoki w dziejach polskiej piosenki artystycznej.

Na pewno nie tylko mieszkańcy Opola cieszą się tymi rzeźbami.

Pomysł postawienia rzeźb na Wzgórzu Uniwersyteckim okazał się trafny, bo dzisiaj jest to miejsce kultowe. Nie ma dnia, aby nie było tam wycieczkowiczów z całej Polski, którzy zatrzymują się przy pomnikach dawnych swych idoli, takich jak Niemen czy Grechuta, siadają przy nich na ławeczkach, robią fotografie.

Urodził się Pan w Strzegomiu, rodzice pochodzili z Małopolski, okolic Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej.

Strzegom – nazywany jest polskim Chartres – to piękne dolnośląskie miasteczko, stolica kamieniarzy – kiedyś niemieckich, dziś polskich. Jest tam kilkanaście dużych kamieniołomów granitu i bazaltu. Stąd bogactwo tego miasta w postaci wspaniałych świątyń: gotyckiej, jednej z największych w tej części Europy bazylik i barokowego kościoła ewangelickiego. Miasto było poważnie zniszczone w czasie wojny, ale jego zabytki częściowo odbudowano. Moi rodzice osiedli tam w 1945 roku, gdy ze Strzegomia usunięto Niemców. Przyszli z ziemi wadowickiej, gdzie jest kolebka rodu Niciejów. Mój stryj, Franciszek Nicieja, urodził się dwa dni wcześniej niż ojciec święty Jan Paweł II. W księdze parafialnej w Wadowicach zapisani są na tej samej stronie informującej o dniu ich urodzenia i rodzicach chrzestnych.

Głównym Pana tematem badawczym są Kresy Wschodnie. Pasja i miłość do Kresów zaczęła się w 1978 roku, kiedy

znalazł się Pan we Lwowie i nim się zachwycił. Proszę przybliżyć ten początkowy okres zainteresowania Kresami.

Moje książki związane z historią Kresów, to moja wielka przygoda intelektualna, która niespodziewanie pojawiła się w moim życiu i dała mi ogromną satysfakcję. A trwa to już 40 lat. Do Lwowa trafiłem dość przypadkowo tuż po studiach, z kolegą z uczelni, który wziął mnie na urlop do Lwowa, bo tam miał swoją rodzinę. Nie miałem o tym mieście większego pojęcia, wszak temat lwowski był w PRL-u w dużej mierze tematem tabu. Podczas tego pierwszego, krótkiego pobytu we Lwowie w lipcu 1978 roku uległem fascynacji tym miastem nazywanym „małym Wiedniem”: jego położeniem i architekturą.

Prof. Stanisław Nicieja przy nagrobku Orlęcia – Konrada Domiszewskiego na słynnym Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Był Pan – jako senator – ekspertem przy odbudowie Cmentarza Orląt Lwowskich. Pana książki: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986” (Wrocław 1988) i „Cmentarz Obrońców Lwowa” (Ossolineum 1990) przyniosły nagrody i uznanie czytelników.

Ta fascynacja Lwowem zaczęła się od Cmentarza Łyczakowskiego – jednej z najpiękniejszych nekropolii na

świecie, porównywalnej z paryskim Père Lachaise, londyńskim Highgate Cementery czy rzymskim Campo Verano. Na Łyczakowie spoczywa kwiat polskiej inteligencji – ludzie kultury, nauki i gospodarki. Cmentarz ma ponad 200 lat, a swoje rzeźby nagrobne zostawili tam artyści formatu światowego – Niemcy, Polacy, Austriacy i Włosi, tacy jak Hartmann Witwer, Anton Schimser, Abel Marie Périer, Parys Filippi, Leonard Marconi czy też Antoni Kurzawa i Luna Drexlerówna. Na tym cmentarzu wykonałem 12 tysięcy zdjęć, w czasach Breżniewa, gdy cmentarz był zaniedbany, w dużej części zdewastowany i nikt nie przypuszczał, że Związek Sowiecki upadnie. Swoją monografię o cmentarzu Łyczakowskim pisałem w okresie stanu wojennego, do szuflady. A gdy przyszedł czas, kiedy w Polsce zelżała cenzura, moja książka o łyczakowskiej nekropolii, wydrukowana przez Ossolineum, stała się sensacją. Nazwano ją nawet literaturą pieriestrojkową. Wyszła w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy. Przełamała mur milczenia o Lwowie. Stała się Książką Roku 1989 i dostałem za nią kilka prestiżowych nagród, w tym londyńskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Monografia łyczakowska miała kilkaset pozytywnych recenzji, także na Ukrainie, i uczyniła mnie rozpoznawalnym wśród polskich historyków. Dzięki niej mogłem osobiście poznać tak wybitnych lwowian, jak Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Hiolski, Alfred Jahn czy Kazimierz Górski, i bywać w ich domach. Mogłem poznać lwowian żyjących jeszcze wówczas nie tylko we

Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie, ale też w Londynie i Paryżu. Jerzy Janicki – wybitny scenarzysta i piewca Lwowa nazwał mnie wówczas „adoptowanym dzieckiem Lwowa".

Cmentarz Łyczakowski jest jednym z najstarszych obecnie istniejących europejskich cmentarzy (młodsze od niego są: Rakowicki w Krakowie, Powązki w Warszawie, Père-Lachaise w Paryżu). Na Cmentarzu Łyczakowskim leżą wielcy Polacy (m.in. Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Stefan Banach). Cmentarz Obrońców Lwowa, znany jako Cmentarz Orląt, stanowi wydzieloną część Cmentarza Łyczakowskiego. Na Cmentarzu Orląt spoczywają Polacy polegli w obronie Lwowa w czasie wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 i w czasie wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. Pochowanych jest tam blisko 3 tys. żołnierzy, głównie chłopców – stąd nazwa Cmentarz Orląt. Jaka była Pana rola w ratowaniu tego cmentarza?

Po sukcesie książki o Cmentarzu Łyczakowskim, w której jeszcze ze względów cenzuralnych musiałem pominąć wątek Orląt Lwowskich, postanowiłem – a był już rok 1990 i o losach Polski decydowała „Solidarność" – wypełnić białą plamę i napisać historię Orląt. Zająłem się wówczas odtworzeniem dziejów Cmentarza Obrońców Lwowa. I właściwie napisałem drugi tom poprzedniej książki, szczegółowo opisując ponad 3 tysiące

zmarłych obrońców Lwowa, którzy spoczywali w sprofanowanej jeszcze wówczas przez sowieckie czołgi kwaterze Orląt. Wtedy też, a był to czas – jak już wspomniałem – pierwszych rządów „Solidarności" w Polsce, moja książka o Cmentarzu Orląt stała się jedną z merytorycznych podstaw służących odbudowie tej kwatery cmentarnej. Byłem w grupie ekspertów przygotowujących dokumentację odtworzenia i renowacji Cmentarza Orląt.

Zbiegło się to z moim senatorstwem. Nigdy nie czułem się politykiem. Byłem historykiem-badaczem, ale miałem przekonanie, że bez włączenia się w działalność polityczną moje pomysły będą miały ograniczoną skalę oddziaływania i realizacji. Mam więc satysfakcję, że byłem jednym z uczestników odbudowy Cmentarza Orląt i dostąpiłem wyróżnienia, mogąc w 2005 roku uczestniczyć w otwarciu odbudowanego Cmentarza Orląt we Lwowie. Jako senator RP stałem w pobliżu miejsca, gdzie prezydenci Polski – Aleksander Kwaśniewski i Ukrainy – Wiktor Juszczenko oficjalnie przecięli wstęgę i udostępnili ten cmentarz rodzinom obrońców i pragnącym po latach złożyć hołd walczącym o polski Lwów. Uroczystość na żywo relacjonowały polskie i ukraińskie media, w tym państwowe telewizje. Moja książka o Cmentarzu Orląt była mocno popularyzowana w kraju i na emigracji jako zapis historii tej wojskowej nekropolii i tragicznych losów, które przetoczyły się przez Lwów w pierwszej połowie XX wieku.

Prof. Stanisław Nicieja na rynku w Zamościu z Jerzym Hoffmanem – reżyserem, który zekranizował całą „Trylogię” Henryka Sienkiewicza

Niezwykłą Pana pracą jest seria tomów „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Seria ta wzrusza, budzi podziw, wywołuje uczucia, chroni od zapomnienia. Przywołuje Pan wiele postaci – świadków historii, pokazuje przeszłość i teraźniejszość. Tyle pasji… uprawia Pan biografistykę, łączy Pan szczęśliwie naukę z literaturą i historią.

Książki o Lwowie, a głównie o jego nekropoliach, których napisałem kilka, ugruntowały moje zainteresowanie Kresami, bo ci, którzy byli wybitnymi lwowianami opisanymi przeze mnie w monografiach cmentarnych, pochodzili często z miasteczek kresowych. Postanowiłem więc pokazać ich rodowody. I wówczas odkryłem tematykę, która dała mi szeroki lot. Uświadomiłem sobie, że Polska w wyniku II wojny światowej, przesunięta jak klocek na mapie Europy o 250 kilometrów na zachód, znad Zbrucza, Horynia i Dźwiny nad Odrę i Nysę Łużycką, straciła w wyniku układów jałtańsko-poczdamskich ponad 200 miast, tysiące wsi, setki kościołów, klasztorów, cmentarzy, tysiące dworów i pensjonatów. Postanowiłem więc opisać historie tych miejscowości, tych zabytków, tych ludzi, po których w wyniku tragicznych wydarzeń wojennych zostały tylko wypłowiałe fotografie, garść wspomnień i wielkie sentymenty czy resentymenty.

W miejscach, gdzie żyli, gdzie stały ich domy, warsztaty czy fabryki dzisiaj są tam często tylko chaszcze, zarośla, gruzowiska, albo nie ma po tych budowlach nawet śladu. Rezydencje pałacowe, świątynie, dwory, hotele, parki i ogrody zostały unicestwione przez pożogę wojenną niczym mityczna Atlantyda, zostały zmiecione z powierzchni ziemi w czasach bratobójczych walk. Nie spodziewałem się, że reakcja na to moje nowe wydawnictwo będzie tak duża i że recepcja książek z tej serii będzie tak akceptowalna i wywoła lawinę informacji, która drogą

mailową, pocztową i telefoniczną popłynęła na mój adres. Otrzymałem tysiące zdjęć, dokumentów, wspomnień, różnego typu informacji, które płynęły od ostatnich świadków usuniętych z Kresów w wyniku ekspatriacji oraz od ich późnych wnuków. W ten sposób powstało moje nowe, ogromne archiwum właściwie wywołane przez tę serię książek noszących tytuł „Kresowa Atlantyda”.

Ryszard Kapuńsiński w gościnie u Haliny i Stanislawa Niciejów w ich dworku „Niciejówka” w Pępicach

Ukazało się już 17 tomów, w przygotowaniu są następne. Jakie będą tematy kolejnych tomów „Kresowej Atlantydy”?

Tych 17 tomów to ponad 5 tysięcy stron tekstu i około 5 tysięcy dokładnie opisanych fotografii miejsc i ludzi. W tych tomach zawarte są biografie głównie polskich i żydowskich mieszkańców ziem utraconych, ale też historie ich późnych wnuków. Bo staram się w mych książkach pokazać nie tylko kim byli babka, dziadek czy pradziadkowie mieszkający we Lwowie, Stanisławowie, Grodnie lub Wilnie, ale jakie losy są ich potomków – wnuków czy prawnuków, którzy znaleźli się w powojennym Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze, Legnicy, Strzegomiu czy Koszalinie. Czy utrzymali poziom materialny i intelektualny swych przodków, czy go zmarnowali bądź rozbudowali? Czy pamiętają o swoich korzeniach? To jest esencja moich książek – ogromna warstwa biograficzna. Ciągle powtarzam i podkreślam, że historię tworzą konkretni ludzie ze swoimi talentami i dokonaniami. Szukam w ich życiorysach barw kulturowych i cywilizacyjnych. Przeplatam ich biografie anegdotami, literackimi opisami, poezją i rejestruję ich dokonania. I tu dopatruję się akceptacji tej serii książek, bo w sumie nakład „Kresowych Atlantyd" dochodzi już do 200 tysięcy egzemplarzy. I dla wielu rodzin poszczególne tom stały się… biblią rodzinną, są dokumentacją ich korzeni cywilizacyjnych i kulturowych.

Posuwam się w swej pracy jak japoński pracoholik – co pół roku kolejny tom „Kresowej Atlantydy", a w nim 4-7 miejscowości, z opisem biografii kilkuset rodzin, zilustrowanych ich osobistymi zdjęciami. Pracuję obecnie nad 18. tomem – historią wołyńskich

miasteczek: Mizocz, Zdołbunów, Równe i Włodzimierz Wołyński. Przywołuję historie rodzinne takich Kresowian, jak choćby Jerzego Antczaka z Włodzimierza Wołyńskiego – słynnego twórcy ekranizacji powieści „Noce i dnie" Marii Dąbrowskiej, Jonasza Kofty – poety, twórcy wspaniałych ballad, autora wielkiej pieśni „Pamiętajcie o ogrodach"; czy też – pisząc o Równem – przywołuję jedną z legendarnych postaci „Solidarności" – Annę Walentynowicz, która też ma wołyński rodowód.

Ma pan szczęście do ludzi... Pisze Pan, że te tomy „Kresowej Atlantydy" nie mogłyby powstać bez udziału setek potomków rodzin Kresowian, którzy przysyłają Panu dokumenty, fotografie, wspomnienia.

Tak, to moje wielkie szczęście, że przez swoje książki pozyskałem zaufanie. I to, że ludzie odkrywając przede mną najskrytsze tajemnice, nie lękali się, że ich historie strywializuję, że będę surowym sędzią czynów i dokonań ich przodków. Jest to ważne dla mnie w czasach, gdy ludzie boją się lustracji i obnażania politycznego – ten lęk rozlewa się po współczesnej Polsce w czasie irracjonalnych podziałów, zwłaszcza gdy historia jest wykorzystywana do walki politycznej i potępiania inaczej myślących. Dopóki będę miał zaufanie ludzi, że nie spożytkuję źle i koniunkturalnie ich rodzinnych faktografii, kolejne tomy będą powstawać i wierzę, że będą mieć akceptację czytelniczą.

Pisze Pan nie tylko o sławnych postaciach, ale pokazuje życie lekarzy, księży, nauczycieli, działaczy społecznych.

Dotyka Pani istoty sprawy. Nie uważam bowiem, że historię tworzą tylko ludzie z pierwszych stron gazet – politycy, premierzy, generałowie, kardynałowie, biznesmeni. Uważam, że historię tworzymy wszyscy. Tylko jedni z nas tworzą historię całego narodu, a inni historię lokalną czy mini historię swojej rodziny, miasteczka czy przysiółka. Nie jest ważne, jaką funkcję człowiek pełnił, tylko to, co po sobie zostawił. Czasem polityk o randze senatora, generała czy ministra okazywał się szkodnikiem społecznym, i zdarzało się, że wpływał destrukcyjnie na toczące się wydarzenia. Dlatego też pokazuję np. postacie charyzmatycznych proboszczów, którzy umieli wokół siebie skupiać ludzi, inspirować ich do twórczej pracy i odgrywali częstokroć ważniejszą rolę od arcybiskupa, który nie miał takiej osobowości. W poszczególnych tomach „Kresowej Atlantydy” są dziesiątki biografii nauczycieli, notariuszy, prawników, działaczy harcerskich, członków stowarzyszeń katolickich czy sportowych, różnych hobbystów, kolekcjonerów i wynalazców, którzy zostawili niezwykłe owoce swej działalności. I najważniejsze – ludzką wdzięczność. Byli solą tamtej ziemi.

Stanisław i Barbara Lemowie w towarzystwie Haliny i Stanisława Niciejów, Kraków 1999 r.

Ocala Pan od zapomnienia, przypomina, że państwo polskie miało zmieniające się granice – od Bałtyku po Morze Czarne, od Śląska po Żmudź i Inflanty. Przypomniał Pan – że historia Polski obejmuje zmianę obszarow, pokazał naszą bogatą spuściznę kulturową.

Piszę o fenomenie polskiej historii. Istniejące od ponad tysiąca lat państwo polskie tym wyróżnia się od innych państw europejskich, że nie miało przez całe stulecia tych samych granic, tak jak np. Hiszpania leży od wieków w tym samym miejscu (między Portugalią a Pirenejami). Podobnie Francja,

Włochy, nie mówiąc już o Anglii, Holandii czy Norwegii. A Polska na przestrzeni wieków miała pulsujące granice. Inny kształt miała w czasach piastowskich, inny w czasach jagiellońskich, inny za Wazów i Sasów. Był czas, że zniknęła z mapy Europy i odrodziła się gdzieś nad rzekami Zbrucz, Niemen, Czremosz, i miała wówczas w swych granicach Wilno i Lwów, a po kilkudziesięciu latach miała już w swych granicach dawne miasta niemieckie – Szczecin, Wrocław czy Opole, a Lwów i Wilno były już w innych państwach. Pisanie więc o Polsce w granicach państwa, w którym obecnie mieszkam, byłoby wycięciem sobie przynajmniej połowy mózgu. Bo gdzie urodził się Piłsudski, Paderewski, Miłosz, Herbert czy Lem. Poza granicami państwa, w którym żyję. A więc pokazuję, jak szeroko sięgały swoimi wpływami polskie rodziny i rody, gdzie budowały swoją wielkość i co traciły. Był czas, gdy Polska z lennami miała obszar ok. 1 milion 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, a dziś ma 312 tysięcy km^2, czyli czterokrotnie mniej. I właśnie o tym m.in. piszę w „Kresowej Atlantydzie”.

Pisał Pan o kresowym Trójmieście: Truskawcu, Drohobyczu i Borysławiu; o dziejach Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Drohobycza. Borysławia, Kołomyi, Krzemieńca, Łucka, Pińska, Śniatyna, Stryja, Złoczowa… Nie pomija Pan także mniejszych miejscowości, o których nie wspomina się często.

Wymieniła Pani najważniejsze miasta i ośrodki przemysłowe, które dotychczas opisałem w swoim cyklu kresowym. Tam jest esencja faktograficzna dla moich opisów. Ale przy tych dużych skupiskach miejskich, bądź nieopodal nich były małe miejscowości, wsie czy przysiółki, z których wyszli niepospolici ludzi. I nim stamtąd wyszli, byli twórcami ważnych faktów, mieli tam swoje dwory, manufaktury, pracownie artystyczne, miejsca spotkań towarzyskich. I to dla mnie było i jest też przedmiotem pracy badawczej.

Pisał Pan o „polskim Londynie", przywoływał postaci Mariana Hemara, Władysława Majewskiej...

W mojej biografii twórczej jest też ważny epizod londyński. W sumie nad Tamizą, dzięki Fundacji Lanckorońskich oraz pomocy Tadeusza Zabłockiego (urodzonego w Kijowie), Józefa Baranieckiego, Stefanii Kossowskiej i Władysławy Majewskiej (urodzonych we Lwowie), spędziłem w Londynie w sumie około rok. Penetrowałem polskie cmentarze w londyńskich dzielnicach, korzystałem z Biblioteki Polskiej i archiwaliów Instytutu Sikorskiego i wówczas powstały moje eseje o Hemarze, prezydentach Ryszardzie Kaczorowskim, Edwardzie Raczyńskim i Kazimierzu Sabacie, o twórcy polskiej kliniki lekarskiej w Londynie – Emilu Niedźwirskim, o dziennikarzu i publicyście – Karolu Zbyszewskim oraz duża monografia pt. „Z Kijowa na Piccadilly" o rodzinie Zabłockich. Na łamach londyńskiego

„Tygodnia Polskiego” i „Orła Białego” opublikowałem kilkadziesiąt artykułów, głównie o ludziach „polskiego Londynu”.

1Rodzina Niciejów (od prawej): Halina i Stanisław, ich córki – Wisłomira i Ariadna, synowa Małgorzata oraz wnuki – Tycjan i Owidiusz

Wiele Pan zawdzięcza małżeństwu z Haliną (z domu Romuzga), która jest naukowcem matematykiem. Znają się Państwo od czasów szkolnych, razem odwiedzali Wołyń, Podole i Galicję Wschodnią. Działają Państwo wspólnie – i są tego wspaniałe wyniki.

Miałem życiowe szczęście, spotykając na progu mych

zainteresowań inną płcią, bo już w pierwszej klasie liceum, kobietę mego życia – o niezwykłej urodzie i zdolnościach intelektualnych. Jesteśmy symbiozą. Od 50 lat pracujemy razem, uzupełniamy się. Ja mam naturę rozwichrzoną, emocjonalną, ona stonowaną i pragmatyczną. Mnie ponosi temperament, ona mocno stoi na ziemi. Mogę powołać się na przykład Jerzego Antczaka – znakomitego polskiego reżysera, który pisząc o swoim małżeństwie z Jadwigą Barańska wybitną aktorką, stwierdził, że spotkało go szczęście, iż mając naturę impulsywną jak wulkan i zmienną w nastrojach, ma żonę zorganizowaną „jak kancelaria III Rzeszy". Podobnie jest w moim małżeństwie. Pragmatyzm żony stabilizuje moje życie. Przemierzyliśmy Kresy wzdłuż i wszerz. Nakręciliśmy wspólnie kilkadziesiąt filmów. Zbudowaliśmy dwa domy – w Opolu i wiejski dworek w Pępicach, na granicy Górnego i Dolnego Śląska. Wykształciliśmy i wyposażyliśmy trójkę dzieci. W obu domach są duże księgozbiory i ogromne archiwa dokumentów kresowych. To wspólne pisanie i redagowanie książek może trwać tak długo, dopóki będziemy sprawni i zdrowi – i ja, i żona.

Ukazały się także dwa tomy Księgi Jubileuszowej, które ofiarowano Panu w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej: „Dowód Istnienia" i „Nicieja – dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa". Piękna to rocznica, prawda?

Jest w Polsce piękna tradycja uniwersytecka, że z okazji jubileuszu uniwersytet obdarowuje swego profesora księgą pamiątkową. I mój uniwersytet wydał taką dwutomową księgę zredagowana przez moich uczniów-profesorów – Danutę Kisielewicz i Mariusza Sawickiego. Zamieszczono tam prawie pełną bibliografię moich prac – ponad 40 książek i około 1000 artykułów, zebrano wypowiedzi na mój temat, m.in. tak wybitnych postaci, jak Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Jerzy Janicki, Janusz Majewski czy Andrzej Mularczyk. Ozdobiono tę księgę ponad 600 fotografiami, z postaciami, z którymi miałem kontakt osobisty. Spotkał mnie zaszczyt udokumentowania przez uniwersytet mego dorobku życiowego. Te dwa tomy księgi jubileuszowej są rzeczywiście „dowodem mego istnienia" (jest to cytat z sentencji, która jest wypisana na frontonie mego dworku „Niciejówka" w Pępicach. Sentencja ta brzmi: „Gdy cię spytają, jaki jest dowód twego istnienia, co odpowiesz?") Więc ta księga jubileuszowa jest takim dość precyzyjnym dowodem mego istnienia na powojennym Śląsku i w Opolu. A może i szerzej?

Prof. Stanisław Nicieja z wydawcą „Kresowej Atlantydy” – Bogusławem Szybkowskim na Zamku Królewskim w Warszawie po otrzymaniu Nagrody KLIO za edycję tej serii książek

Nie stroni Pan również od trudnych tematów – np. czystki etnicznej o znamionach ludobójstwa – czy zbrodni dokonanych na Polakach na Wołyniu (1943) i w Małopolsce Wschodniej. Podejmuje Pan temat akcji „Wisła” (1947).

Sprawa rzezi wołyńskiej, ale też podolskiej i pokuckiej to wielki cierń w stosunkach polsko-ukraińskich. Od pokoleń nieusunięty przez polityków polskich i ukraińskich, przez ich nieumiejętność rozwiązania tej sprawy. Mijają lata, a jesteśmy prawie w tym

samym punkcie. W moich książkach ukazuję ogrom tej zbrodni i daję setki konkretnych, niepodważalnych dowodów, że było to ludobójstwo. Nie jestem historykiem dworskim, nie interesuje mnie, kto teraz Polską rządzi i jaką politykę historyczną narzuca konkretny minister edukacji. Jestem jako historyk niezależny, bo żadnej z moich książek nie dotowała żadna opcja polityczna – ani z prawa, ani z lewa. Mogę wydawać kolejne tomy tylko dlatego, że poprzednie miały swych czytelników i zwróciły się koszty ich druku, A są one niemałe, bo wydawca, Bogusław Szybkowski, wydaje „Kresową Atlantydę" na najlepszym papierze, z doskonałymi skanami fotografii, w kolorze i ze znakomitymi jakościowo twardymi okładkami. Piszę w tych książkach o sprawach kontrowersyjnych, starając się o maksymalny obiektywizm i szeroki kontekst obyczajowo-historyczno-polityczny.

Powtarza Pan często, że trzeba pamiętać o korzeniach. Przypomniał Pan wypowiedź swojego wuja, który przytoczył słowa prezydenta Johna Kennedy'ego z 1961 roku: „Moi rodacy, nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swego kraju". Przytacza je Pan kilka razy – jako rozumienie patriotyzmu.

Mam głębokie przekonanie, że należy znać swoje korzenie rodzinne. Należy szczycić się tymi, którzy imponowali szlachetnością, mądrością i zostawili po sobie ważne dokonania.

Nowoczesne społeczeństwa muszą się opierać na wartościach niepodważalnych, sprawdzonych, bo bez nich trudno budować przyszłość. Społeczeństwo to – by użyć metafory – nie jakaś termitiera, mrowisko, w którym żyją istoty, które się napełniają i opróżniają, nie mają żadnej nazwy, nawet x czy y, mają swój czas biologiczny i nagle giną, przemijają, nie zostawiając śladu. Takie społeczeństwo nie ma racji bytu. Musimy wiedzieć skąd przyszliśmy, jaką drogą idziemy i gdzie oraz z kim chcemy dalej iść. I takie przykłady o tym skąd przyszliśmy i co zostawiliśmy po sobie są we wszystkich moich książkach, z 17. tomami „Kresowej Atlantydy" na czele. Cytat z wypowiedzi Kennedy'ego, do którego często wracam, jest rzeczywiście dla mnie esencją patriotyzmu. Nie żądam od mojego państwa, żeby coś mi dało, ale staram się moją pracą w jakimś skromnym wymiarze o coś mój kraj wzbogacić.

Co dalej – Panie Profesorze?

Jeżeli będzie nam (i żonie, i mnie) służyło zdrowie i nie ostygnie mi wyobraźnia, to będziemy posuwać się w realizacji centralnego zamierzenia – opisania historii miejscowości, które Polska utraciła po II wojnie światowej oraz przypomnienia wielu mieszkającym dziś nad Odrą, Nysą Łużycką, Notecią czy Wartą o ich kresowych korzeniach.

Halina i Stanisław Niciejowie przed swoim dworkiem w Pępicach

Wywiad w skróconej formie ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku” (09. 02. 2022 r.).